PAMIĘTNIKI
ICKA BOMBELESA
OBIWATELA MIASTA KRZIANOWA



KRAKÓW 1919 — NAKŁADEM I CZCIONKAMI
DRUKARNI KATOLICKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ
W KRAKOWIE, POD ZARZĄDEM STEFANA ZBIKA

PAMIĘTNIKI
ICKA BOMBELESA
OBIWATELA MIASTA KRZIANOWA

OPOWIADANE PRZEZ NIEGO SAMEGO,
A SPISANE RĘKĄ JANTKA BUGAJSKIEGO



KRAKÓW 1919 — NAKŁADEM I CZCIONKAMI
DRUKARNI KATOLICKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ
W KRAKOWIE, POD ZARZĄDEM STEFANA ZBIKA

PRZYGODY ICKA BOMBELESA

Ofiarowanie.

Wam galicyjskie Berki, Mośki, Jojny,
Ten żywot Icka, bardzo bogobojny,
Pisany w bardzo poetycznej mowie
Poświęcam wdzięcznie, kochani żydowie.
Ach my polacy, tak żydków kochamy!
Ze co najdroższe, w naszej Polsce mamy,
Tośmy wam żydkom, w arędę oddali
Za lichwę, wódkę, pieniądze sprzedali,
Zaprzedali wam, polskie miasta dwory,
Tysięcoletnie, polskie lasy, bory,
Daliśmy żydkom tę wielką nadzieję
Wnet zrobić z Polski, judzką — Galileję!
A gdy zrobicie, z Polski — państwo swoje
Polacy będą dla was szabes-goje.
Będą wam robić wszystko, usługiwać;
Wy mlekiem, miodem będziecie „opliwać".
Dla was pejsaci w dwóch czapkach dziedzice,
Po polskich dworach w jupicach szlachcice —
Dla was żydowscy, lichwiarze, giełdziarze,
Milionerzy, handełesy — wszaże,
Którzy cebulą i czosnkiem pachniecie,
W brudnych hotelach, knajpach szynkujecie,
Poświęcam Icka, niech go wasze córki:
Pepcie, Fajgile, Ryfcie, Perle, Surki
I wasze żony, wezmą na czytanie,
Spiwają, grają go na fortypianie —
Bo jest pisany wierszem, jak aryje,

Ma dużo w sobi powagi, racyje.
Lecz wam za darmo nie daję prezentu:
Ządam wdzięczności sześć i pół procentu.
Ządam, gdy Icka będziecie czytali,
Zebyście nad nim głowami kiwali:
Zebyście z niego mieli pocieszenie,
W smutnych geszeftach życia pokrzepienie.
Choć Galicya — ten kraj ciemno dziki —
Ma dużo jeszcze — „antysemitniki“,
Dużo przyjaciół jednak jest w tym kraju
Dla żydków, jak ja, Jantek na Bugaju,
Którego serce życzliwością bije,
Ze wam o Icku robi poezye.
Który wam życzy każdziutkiej godziny,
Byście raz poszli już do Palestyny!
A my, co was tak ukochali,
Tak na odchodnem będziemy płakali,
Ze aże mokro będzie pod językiem,
Gdy w Palestynę pójdziecie z „muzykiem“
Ach co to będzie, radościów, ajwaju,
Gdy żydki z Polski, do swojego kraju,
Będą odjeżdzać, koleją, przez morze
Jak w wielkim, będą odchodzić honorze!
Do Palestyny, gdzie Abraham chodził
I pokolenie Izraela rodził,
Gdzie Dawid, mając waleczne sumienie,
Na Goliata uderzył kamieniem,
Gdzie Pan Bóg mówił w cztery oczy z wami,
Gdzieście Jerycho zdobyli trąbami,
Eliasz jeździł automobilem,
Gdzie Mojżesz czynił cudów różnych tyle —
Tam wam ojczyzna, Izraela syny!
A więc, marsz od nas, marsz do Palestyny!!!
Tam, w Abrahamów, Izaaków krainie,
Rzekami mleko i miód słodki płynie,
Lecz wy wolicie Polską Galileę,
Gdzie się gorzałka od was, gojom leje,
Gdzie macie geszeft, jaki w całym świecie

I w Palestynie nawet nie znajdziecie.
Zeby był Mojżesz, co żydowską tłuszczę
W lewo, w tył, naprzód, w prawo, wiódł przez puszczę,
Wiedział jak dobrzy, żydkom w Polsce goje,
Toby do Polski, przywiódł bandę swoje.

Wstęp.

Prawdziwe, przeróżne, przedziwne przigody,
Wipadki, przipadki, uczechy, przieszkody,
Boleści, powieści, zdarzenia, frasunki:
Wesołe, paskidne, różne przitrafunki
Opowiadowane, prawdziwie z ochoty,
Przez Icka starego, co robił kapoty,
Spodnie, palta, cziapki, jubki, kamizele,
Z któremi w jarmarki prowadził handele;
Co był wszędzie sławny, czystym interesem,
Co go był uczciwym Ickiem Bombelesem.
Ze kto wi, czy która, żydówka go wyda
Na świat, jako Icek porziądnego żyda!
Bo teraźniejszy żydowskie bachury,
Już go nie mają Ickowej natury,
Co by go żyły jak Icek koszernie
Podług starego testamentu wiernie
Tak że ten żywot z życia Icka wzięty
Pisze, żeby był za przikład przijęty.
Żeby jego dzieci. wnuki i prawnuki,
Mieli z tego przikład oświaty nauki,
Zieby z jego życia galicyjskie żydki,
Odnieśli pocziechę, pożytek nie brzydki.

Narodziny Icka.

W rok tysziąc osziemset, dwadzieścia i troje
Były we Krzianowie, urodziny moje.
Z ojca Bombelesa i matki Fajgilii,
Którzy mię do spółki oboje rodzili.



Tu Icek sze urodził i tu pochowany — Miasto wielgie Krzianów i to jego ściany.

Bo taki był zwyczaj ojca Bombelesa,
Że do spółki z matką robił interesa...
Jak matka krzicoła przi mojem połogu,
Ojciec krzicoł, stękoł sziedzący na progu,
Pomagał mej matce, mój ojciec poczciwy,
Żebym prziszed na szwiat, szczęśliwie i żywy.
Kiedym go już na świat z matki miał wichodzić,
Tom go był uparty, nie chciał sie narodzić,
Com sie zbliżył na świat, napowrót sie schował,
A nik nie mógł zgadnunć, czegom poczebował?
Aż go sprowadzili, mądrego rabina,
Ażeby un z matki wiprowadził syna,
Tak rabin powiedział, un wyjdzie z żywota,
Niech mu ojciec brzęknie, workiem srebra, złota.
Gdy ojciec zadzwonił, nabrałem tak mocy,
Żem sie go narodził, prędko jakby z procy!
Kiedym się narodził na świat we Krzianowie,
Bardzo sie cieszyli oboje ojcowie;
Skończyło si zaraz ich uboliwanie,
Bo sie im narodził Icusiek kochanie,
A byłem go taki przepiknie urodny,
Jako mało które dziecko pierworodny.
W szósty dzień, jak każe żydowski obrządek,
Sam rabin uczynił koło mnie porządek.
Alem go miał wtedy pamięć taką małą,
Ze nic nie pamiętam jak bardzo bolało,
I całe już życie od tego momentu
Podług żydowskiego rosłem testamentu.
Nie znałem i mamki, katolickiej mleka...
Lecz podług prawa, od Melhidezecha,
Ciągnął kosierne mliko własny matki,
Nie jak bogatych żydów, bidne dziatki.
Co z katolickich mamek mlekiem żyją,
Tą niekoszerną brzidką herezyją!
Którą zakazać powinni rabini,
Jak zakazują jeść mięso ze świni.

Pirsze roki, mowa, kroki.

Dopirom zacziął rosnąć pirsze roki,
A jużem rozum miał bardzo głęboki.
Ze ojciec mówiał: Aj waj! mego syna
Pambóg umilsznie stworził na rabina!
Jak mu pokażę talar i grajcara,
To un odrazu bierze za talara.
W moi Icusiu wielgi geszeft siedzi,
Do roku poznał już śrybło od miedzi.
Matka go moja powtarzała cziasem,
Nasz Icuś bedzi wielgim Eliaszem,
Wielgim prorokiem, a może Mojżeszem,
Aj! waj! jak ja się moim Iciem cieszem!
Swoje potrzieby robiałemgo go często,
Czasym na rzadko, a czasem na gięsto.
A zawszie wtedy, kiedy mamcze miła
Na swoich mie go kolanach bawiła,
Taki od dziecka biłem już poziądny,
Na wszistkie strony przitomny, rozsądny.
Raz, jak si bawić, krojcara dostałem,
To go odrazu w giębę wpakowałem.
Mamczie spostrzegła, narobiła gruchu,
Kce mi go dostać, ja łyk! krojcar w brzuchu!
Ojciec i matka krzicieli z chałasem,
Ze ja go w brziuchu założiłem kase.
Służącej Hance kozali po leki,
Bi na ten krojcar przziniosła z japteki,
Hanka prziniosła olejku z rycyny,
Musiałem wypicz. Za parę godziny,
Krojcor go w brziuchu na świat przziwędrował,
I ojciec mi go do skarbonki schował.
A ja narobił krziku i lamentu,
Zie krojcor w brziuchu nie doł mi procentu!
Jak ja go wtedi rozweselał chate,
Kiedym przemówił: aj, waj! mame, tate.
Ojciec mi z mamczą całował sto razy,
Jak usłyszeli te pirsze wirazy.

A mówiłem go pierwszy mowy głoski,
We dwa języki polski i żydowski.
Co go zaś biło radościów, zdziwienie,
Gdym zacziął chodzić sam koło naczynie.
Raz go do kuchni zasiedł koło ściany,
A tam stał cebrzik z wody gotowanej,
Przlechyliłem si go nad tym cebrzikiem,
I chlup! Wpadniułem w wodę z wielkim krzikiem,
Szczęści, że mamcia mi wiratowała,
Moje krzyknięci w kuchni posłyszia!a,
Zem tylko skórę po wirzchu oparził,
Bo bym si go był na rosół uwarził,
Aj, waj, cierpiałem po tem bardzo wiele,
Na całym ciele bolący bombele.
Raz znów stanułem odważnie na nogi,
Chciałym przlechodzić przez cały podłogi,
Kroczię odważnie, w tem si wywrócziłem,
Twarziczkiem na pisk i nosa rozbiłem,
Od tego cziasu na obidwa strony.
W prawo i w lewo mam nos pokrziwiony.

Dalszi żiwobycie i przipadki.

Gdym si naucził chodzynia i mowy,
Rozum mi gięsty przichodził do głowy,
Lubiłem daleki odbiwacz podróże:
Do stajni, piwnicy, na strych, na podwórze.
Raz poszedłem za dom i w dziurę głęboko
Wpadniłem, co była z wichodka z posoką...
Wilazowałem cały wibłocony,
Jak ze bim go był mosiądzem złocony,
Zimno mi było. Czicho, po kryjomu,
Pod dwie pierzyny ległem w łóżko, w domu.
Zrobiłem w pierzynach takie znieczyszczenie,
Ze mamcia mi za to, biła bez sumienie.
Raz znowu bił dzień pogodny i ciepły,
Posziedłem na dwór, a tu gęsior wszczekły,

Wpadniuł na mnie z wielkim krzikiem, sykiem,
Z otwartym dziobem i długim językiem,
I zacziął kąsacz dziobem i szczypanie
Za łydki, tyłek i za obrzizanie.
I tak mi długo na podwórzu gonił,
Pokim się przed nim do kuchni nie schronił:
Tatę go zaraz tego wszczekielnika
Zabić na sziabes dali do rzeźnika.
Raz znów posziedłem do stajni, gdzie krowy,



Taki mi fajna, miszl przisła do głowy:
Zaniosłem pod krowę duziego cebrzika
I kciałem nadoicz pełno w niego mlika.
Powidzcie, jak mądry bił już ze mni Icek,
Zacziąłem Winochę pocziągać za cicek.
Winocha spostrziegła pod brziuchem cebrzyka,
Zgniwoła si, że chcę tyle naraz mlika,
Kopła mi bestya naraz w brziuch i głowę,
I ja si prziewrócił, aż pod drugą krowę.

Ta druga, było ij na imię Maloha,
Była krowa młoda, dzika, bardzo płocha,
Gdym pod nią narobił krziku, wrziasku, gruchu,
Poczęła mi skakacz po głowie, po brziuchu,
Była by mi mozie śmiertelni zabiła,
Ale mie służąca Hanka obroniła.
Jakim był zbabrany, jakiem poniósł męki!
Ojcowie krzicieli, az łomali ręki.
A jak mi zewlekli z koszuli i gaci,
To miałem na sobi pełno czarnych raci...
Na tym zakończam wipadki młodości,
Mało w nich szczęścia, a dużo przikrości.

Nowy potomek i pirsze handele.

Po tym nieszczięsnym podoju w oborzie,
Jeszczym do zdrowia nie przichodził dobrzie,
Jak wielka radoszcz przisła na nasz domek,
Bo si narodzował znów nowy potomek.
Którym moim ojcom wielką radość sprawił,
A sam rabin przy nim jus nic nie poprawił...
Bo nowym potomkiem to biło „sikselę“,
To buła Esterka, co dżyś przi kościele
Widana za Mendla, co ma handel z jajem,
Kury, kacki, gięsi kupuje, szprziedaje.
Taty z mamczią mieli dużo przijemności,
Z całygo Krzianowa zaprosili gości,
A mnie, to go tate, nowy mundur sprawił,
Ziebym małą „siksę“ kołysoł i bawił,
Mondor był od tate, ze stary jupicy
Przierobiony z prawy na lewej stronicy.
Jak si zeszli gości, był wielgi karnawał,
A każdy mi z gości drobny centy dawał,
Tate to zrachował, było ich tak wiele,
Co mogło wistarczyć na małe handele.
Jak zem go nazbirał tyle od tych gości,
Tom az hibał w górę od wielgi radości —

I prziemyśliwałem handele otworzyć,
Ziebym te piniondze, prędko móg pomnożyć.
I com go nie zrobi ł? — Jako kupiec Icek,
Poszedem za miasto, gdzie pas bidło Wicek,
I z Wickiem odrazu zacziąłem handele:
— Sprziedoj Wicek cziele! sprziedoł Wicek cziele!
A zieby go Wicek chciał handlować prędzy,
Pokazowałem mu wiele mam pieniędzy.
Jagem go Wickowi piniądzami brzęknuł,
Tak Wicek do handlu odrazu zmięknuł.
Odrazu go zy mną zacziął inną mowę.
Mówi: — Panie Icek, kup te młodą krowę.
Którą chcesz to obierz, zaglądaj do gęby.
Ja idę ku krowie obejrzeć jej zęby,
Krowa jak nie skoci! porwie mię na rogi,
Od strachum zapomniał głowy, ręce, nogi.
Pieniądzem rozsypoł od wielgiego strachu,
Spadnułem na ziemię z wisoka, jak z dachu,
Bo mi tak rogami cisnyła do góry,
Przez pięć minut miałem zemdlony natury.
Gdym si opomiętoł już Wicek przieklęty
Wsziskie do jednygo wizbirował centy,
I jeszczy do tego wiparł si holera,
Zie nie widzioł ani jednego helera?
Powiedzioł mi jeszczy: *Pudziesz ty bachorze!*
Bo ci twoje icki poobrzynam nożem!!
Bo un by to zrobiał ten Wicek przieklęty!
Tak żym go od Wicka ucik przielęknięty,
Z tego Wicka to był go oaskidnik wielki,
Robiał małym żydkom rozmaity figielki.
Roz ja, Berek, Mojsie, Jojne i Estera
Poszli my do niego, pasł bidło holera,
Kazał zieby my świnie pocałowali,
Ny i my muszieli, by my si go bali.
Jeszczy nam powiedział, że to ciotka nasza,
Ten Wicek to gorszy bił od Barabasza!


J.K.

Dżiwna przigoda zy smarowidłem.

Jagem prziszed z handlu, bałem si go taty,
Bi się nie dowiedział mych piniędzy straty,
Nie dałym o sobie wiadomości śladu,
Odemknąłem czicho, wlazował do składu,
Tam buły rozmaite towary sklepowe,
Co mam dali robicz, zachodziłem w głowe.
Słyszialem jak gości głośno si bawili,
Szpiwali laj, laj, laj „szabes brufen“ pili,
A ja si go ciągle lękał mego taty,
Bi sie nie dowiedzioł mych piniądzów straty
Umiszlałem wreszcie skryć sie do beczółki,
Zaraz przystawiłem kawałek deszczółki,
Po deszczułcem wilaz i skoczil po sziję,
Zrobiał znowu brzidką, nową strapicyję,
Bo w beczółcy było pełno smarowidła,
Wpadniułem po szyję, jak zieby w powidła!
Od wielgiego strachu, brzidkości, bojaźni,
Raźnom si wygrzebał z ty niemiły maźni,
I gdzieby si schować miszlowałem scyrze,
Wlazowałem w beczkę, co w ni były pirze.
Co go bedzi dali, już nic nie miszlałem,
Sziedziałem cichutko ani nie dychałem.
Gdym tak sziedział, sziedział zagrzebany w pirzu,
W domu powstał giewalt, jakbi na „Kaźmirzu“,
Kiedy raz w sądny dzień goje andruśnicy
Wybili kamieniem trzy okna w bożnicy!
Poczieli mie sziukać, wołać, krziczeć, pukać,
Ja furt sziedział cicho nic nie miszlał kukać.
Wpadnili do składu, tatę bardzo blady,
Bo ujrzoł go w beczce z smarowidłem ślady...
Aj woj! giewolt! krziczoł, mój Icuś kochany,
W beczce z smarowidłem leży pogrzebany.
Bo na beczce został jego kapeluszek,
Aj waj, już nie ziwą ma mój Icuś duszę!
I w nowyj jupicy z ślacej atłasyje,
Włożył obie ręce aż po samy szyje.

I kiedy rękami w smarowidle gmyrze,
Inni mnie znaleźli w drugi beczce z pirzem.
Co też było dziwu, od głowy do pięty.
Biłem jak genś w pirze cały porośnięty!
— Aj woj! Icuś, Icuś! co to jest za hecy,
Lo czemu śty zrobiał takie brzidkie rzecy!
Mówił go mój tate, potym mi całował,
A potym nowyj jupicy ziałował.
Jagym go powiedział, trochy historye,
To miałem od gości wielką libacyję,
Ziem z takich wipadków zrobioł w beczce kwatyr,
Wsziscy sie dziwili, ziem taki bohatyr!
A kto temu winien? przeci ni ja, Icek,
To winien ten ganew! ten rozbójnik Wicek,
Z tym Wickim często miewałem kłopoty,
Ale ich mówić nimam już ochoty,
Bo szkoda, zeby była poezyja
O takim chłopie, jak Wicek bestyja!
To buł chłop, ciemny, brzydki, głupi, dziki,
Gorszy jak dziesięć antysemitniki.

Religie z bibulie, wikształcenie z oświceniem.

Jak go liczyłem osiem lat młodości,
Tatę dał mie uczyć hebrajski mądroszci,
Gramatycznie mówić, szpiwać, pisać, liczyć,
Mój belfer domowy rozpoczął mie ćwiczyć.
Prócz tego, co w gruby stoi bibulije,
I co jest talmudzie, w naszy religije:
Jak synowie Jakóba robiąc handel brzidki,
Zaprzedali Józefa i jakie pożytki
Były z tego, bo Józef na Farońskim dworze,
Był ministrem handlowym i szprziedawoł zboże.
Jak Józef z Putyfarą miał brzidkie kłopoty,
Jak mu rękaw urwała cały od kapoty!
Przez to, że go Józef był mojżeszowej wiary,
Nie chciał żadny romanse mieć od Putyfary.
Uczyłem się jak Dawid pastyrz od barany,

Na zidowskiego króla był posmarowany,
Jak zrobiał z Goliatem wielkie zwyciężenie,
Na osiemnaście kroków trafił go z kamieniem!
Uczyłem si jak Aron ze swojej ochoty,
Ulał z samygo złota duży cielec złoty,
Bo un wiedział, ze zidki kochają się w złocie
Wiency jako w Jehowie, jak przy tej robocie,
Uirzoł Mojżesz Arona, rozbił przikazanie,
Bo było koło cielca żydków tańcowanie...



Czitołem jak wieloryb z takim wielgim brzuchem
To tak połknął Jonasa, jak głodny pies muchę!
A Jonas w wielorybie takie psalmy nucił,
Ze go wieloryb z brziucha na morze wyrzucił!
Ucyłem si jak było po i przed potopem,
Jak Elijos do nieba od e hol galopem,
Ucyłem si na pamięć wszystkiego głęboko.
Ze go ma bicz „ząb za ząb, a oko za oko"!
Ze to wszistko, co mają pogany i goje,
To jest żydków... to ma być wszistko nasze — moje.

Uczyłem si wszystkiego dokładnie i wiernie,
Co go ma bić kosierne, a co nie koszerne!
Jak bardzo niekoszerne jest mięso ze świni,
Jacy byli i będą cudowni rabini.
Jak go na Bukowinie rabin z Sadogóry,
Jest go z głową, z nogami cudownej natury.
Uczyłem si go dalej, że kraj obiecany,
Jest go dziś Galicya dla naród wibrany...
Tate mój bił ze mnie bardzo ucieszony,
Ze go codzień bardzo byłem wikształcony,
Mówił, że poszle mnie uczyć na rabina,
Ale na przieszkodzie stanuła drabina.

Jak prziez drabinę nie bułem rabinem.

Raz go już nie pamiętom, dla jakiej przyczynie,
Wilazowałem go na dach po drabinie,
Wilazem wisoko i spadnuł na głowę,
Od tego spadnięcia rozumu połowę
Straciłem! by nie ten wipadek z drabinem,
To Icek Bombeles byłby dziś rabinem,
Byłbym odprawowoł różny służby Boże,
Mozie we Krakowie, a mozie w Zatorze,
Byłbym dzisioj wielkiem obrziezańcem Bożem!
Ale go tego z drabiny spadnięcia,
Wiency na rabina nie miałem pojęcia.
Nu i za dwa roki, co mie belfer ćwiczył,
Tylem się nauczył, żebym dobrze liczył,
Polskie, hebrajskie czytać, pisać, śpiwać
I przy pacierzach porządnie się kiwać!

Jak handele z jajem wielką stratę daje.

Do handlu cziułem w sobie wielkie powołanie,
Kiedy szedłem do gojów na utargowanie,
Kupowałem go jaje, skórkę, albo kurę,
To n go taką kupiecką miał w sobie naturę,
Zem go prędko targował i prędko zapłacił,

I przez to na towarze przez połowę tracił!
Tate mój o to zawsze musiał na mnie krziceć,
I nie chcioł na taki handel nic pożyczeć!
Raz posziedłem do sklepu po cichu, za ladę
I odemknął zamkniętą z pieniondzmi szufladę,
I kilkanaście ryńskich, niepamiętam wiele
Sam go sobie pożyczał na z jajem handele,
I posziedłem go na wieś, interes szedł czysto,
Bom zakupił jaj koszyk pełny okopisto.
Wziołem koszyk na ramię, idę ucieszony,
Że na tych jaje geszeft dobrze jest zrobiony,
Idę przez las wiłzbowy, wprost na most od rzyki,
(Las buł taki, co z niego grodzi się koszyki),
W tym go z pod nóg wiskoczył mi zając olbrzymi.
Ja si zlęknuł i koszyk bęc z jajem na ziemi!
Moje jaja si stłukły! całe sztyry kopy,
Jajeśnice do czopki zebrali dwa chłopy,
Co go właśnie nadeszli i jeszczy si szmiali,
Jak moje jajeśnice do czopek zbirali!

Utopienie Icka w żymny wodzie.

Aj waj! jak go zostałem w taki wielki nędzy,
Z próżny koszyk bez jajów, bez żadny pieniędzy,
Umiszlałem go po tej straszliwej przigodzie
Iść do rzyki i żywo utopić się w wodzie!
Posziedłem, zdjął jopicę, buty i skarpetki,
Zieby w gaciach, w koszuli utopić sie wnetki!
Pot mi na samobójstwo zrobił si na czoło,
Żaba kam! korom! kom! Icek, z wody na mni woło.
Ja wlozuje odważnie, woda taka zimna.
Że zaraz mi do głowy przyszła go myśl inna:
Poco ja z zimną wodą robie komedyje.
Ubrałem si i patrzcie państwo, jeszcze żije!

Grzieczny sikorek, paskidno wrona.

Gdi po tim samobójstwie szedłem zamyślony,
Były drzewa przy chodnik prawy, lewy strony,

Na jedny lipie siedzioł nieduży jak korek,
Taki ptosek, co si nazywo sikorek.
Było ciepło, bo wtedy buł go miesiąc lipiec!
I ten ptosek to szpiwoł: Icek! kipiec! kipiec!
Tak ciągle Icek! kipiec! kipiec! Icek! szpiwoł.
Po tym wielgim nieszczęście nadzieje mi wliwoł.
Jak un poznał? zie kupiec przechodzi chodnikiem
Kiedym po tem nieszczęściu siedł z próżnym koszykiem?
Ny to buł grzieczny ptosek, nie taki jak ona!
Co wam zaraz opowiem, wrona, brzidko wrona.
Przichodzy go ku miasto do pierwszy ulicy,
Patrzę, a leczi wrona i parch! parch! parch! krzicy.
Ja go na to przezwisko nimiołem sumienie,
Porwałem na te wrone sporego kamienie!
Una parch! parch! przeziwa i blizko mnie leczi
I przed Pinkiesa karczmą usiadła na śmieci.
Szadnęła go. I w gniewie ja na nią rzuciłem,
Szakrew, com go miał wronę, ja w okno trafiłem!
Aj waj! przez brzidką wronę tate musiał tracić,
Trzy ryńskie Pinkesowi za okno zapłacić,
Dwa ryński za okowit, bom ja rzucił na nie.
Kamień oknem poleciał i rozbił w szynkwas banie
Z okowitem, com kłopot miał od tego wrony,
Zieby une zabiły dwadzieszcia pierony!!
Zieby una si stała tako, jak śnig biała
Za to, zie parch, parch, Icek! paskidnie krzicała!

Przigoda z dzikiem wiewiórkiem i ze zbójami.

Raz buło to na siabes z piątku na sobotę,
Dzień buł brzidki, bo buło wielkie dżysto z błotem
I mgła była tak wielka po świecie, po całem.
Zie dwa kroki przed siebie mało co widziałem.
Posiedłem go na handel, we wszi przi Krzianowie,
Co mi si przitrafiło, słuchajci panowie!
Idę, idę i idę trzy godziny czasu,
I com go miał przyjść do wsi, prziszedłem do lasu.
Co tu robicz? stanąłem miszlę razy kilka,

Jak bym wtem lesie spotkał dżyką świnię, wilka.
Wróciłem si go z lasu, idy bez pagórek,
I ujrzałem na drzewie dżiki zwierz — wiewiórek!
(To on był, bom go widział raz namalowany).
Skacze z drzewa na drzewo jakby opętany!
Ja si bardzo zlęknułem i uciekam. w nogi,
Przed siebie, sam nie wiem gdzie, bom pomylił drogi
Uciekam, a zie buło na świecie zamglone,
Uciekałem, san nie wiem, w którą świata stronę.
Ny! kto ma strach ucieka, o drogę nie pyta,
A kto tonący to i ognia i brzytwy się chwita.
Uciekam i uciekam, niech Pan Bóg ratuje,
Patrzę, a tu pod lasem w prosie są dwa zbóje...
Zemdlałem go od strachu, ale furt uciekam,
Bo go jakąś chałupę ujrzałem zdaleka.
Krzicę giewołt! jagem już byłem przi stodole,
Chłop usłysział, wyleciał z chałupy na pole.
Jakżem mu opowiedział, un sie ze mnie śmieje
I powiado, że wilki i świnie są teraz tylko w knieje,
Zie wiewiórek nie zjada ludzi, lec orzechy,
A ze zbói ten chłop tes zrobił sobi śmiechy,
Zie to buły ze szmatów zrobione strasaki,
Coby prosa nie zjadły wróble i inne ptaki:
Ny, co ja sy narobił sam z niczego strachu,
Jakiegom potem nimiał w *żadnym życiu* krachu!

Bardzo brzidki siabes.

Po tych moich przigodach w lesie już wiecie,
Zrobiła si pogoda przepinkna na szwiecie,
A ja go w uciekaniu pobłądziłem tyle,
Ziem buł we wsi z Krzianowa dalekiej dwie mile.
Idę bez te obcą wieś na jakie handele,
Jeden chłop mi powiada, ze ma chore czelę.
Ja go zrobiał doktorską i kupiecką minę,
Obejrzał cziele tłuste, miało cielecinę.
Miszlę sobie, trza handel z głupiem chłopem zrobić,



Dać za cziele trzy ryński, dwadzieszcia zarobić!
Bo widziałem, ze ciele nie jest chore tyle,
Azieby do Krzianowa nie doszło dwie mile.
Sprzedawszy jak zdrowego drogo cielęcinę,
Mówię chłopu, zie ciele chore jest na szkarlatynę.
Wygnałem na wieś, patrzę, słońce bardzo nizko,
Tak na dużego chłopa wieczór, siabes blizko!
Ciele lęgnęło w drodze, aj waj jak to będzie?
Ale miśle, trafi sie drogąm kto pojedzie,
To mie weźmie z cielęciem i będę w Krzianowie
Na siabes i usiadłem, skrobię sie po głowie.
Patrzę, patrzę na drogę i ujrzałem zdala
Jadącego na wozie jakiegoś fornala.
Przijechoł, był to chłop już stary, siwy,
Na giębie mu patrzało, że buł sprawiedliwy.
Pitam sie go, czy jedzie prosto do Krzianowa,
Chłop był głuchy i trudna była z nim rozmowa.
Chłop mówi tak, więc wkrótce z nim się dogadałem,
Włożyłem ciele na wóz, siad i pojechałem.
Słońce już zachodziło, siabes wnetki będzie,
A Krzianowa nie widać, chłop jedzie i jedzie,
Jedzie, jedzie, na świecie zrobiło się ciemno.
Siabes, a jo fort jady, co to bedzie zy mną?
Jadę już trzi godziny, a ze chłop był głuchy,
Tak si go pytał głośno do obidwa uchy:
— Gdzie jedziecie?! on mówi — a dyć do Kasowa...
— Jaki Kasów, co to jest? ja chciał do Krzianowa!!
Co ja go teraz zrobię, zacząłem biadacz.
Poco mi było z głuchem do Kasowa siadać,
Wreszcie za wielkiem tego chłopa uproszenięm
I pięć ryńskich, chłop zrobił z wozem nawrócenie,
Przijechałem, a cały Krzianów na mnie Icka pluje,
I że ja w sabes jeżdżę, po świecie handluję.
Już nigdy w pamiętniku nie prziznom sie o tem...
A co go, co go, co go, co go buło potem!
Cielę zdechło na wozie bez żadnych pożytki,
Aj waj, był go to siabes! siabes bardzo brzydki!

Nauka rzemiosła szyciowego.

Jak ojciec poznał, żem go nie jest zdatny
Do handlu korzenny, ani do bławatny,
Tak si potrzebował na mnie bardzo zgniwacz.
Dał mię do nauki, na maszynie szywać:
Wszistkiego, co tyczy sznajdernej roboty,
Spodnie, kamizele, futra, paletoty.
Uczyłem si dobrze, bom miał talent własny.
Jagem zrobiał mondur, był duży i ciasny...
Całkiem, jak potrzieba do jarmaczny budy,
Gdzie mondur kupują rozmaite ludy:
Chłopy i pastyrze, fornale, wolarze,
Panowie lokaje, z miasta konsyliarze.
Jagem go raz f.tro workiem wywatował,
To go sam pan pisarz ze dwora kupował,
Bo go miało fasong modny, prosto z Wiednia,
Ino był za ciasny z przodu od połednia.
Raz kupował spodnie burmistrz w Podkamieniu,
Ale, jak przymierzył, pękły na siedzeniu...
Jagym sie nauczył, prędko zawszie zsiwam,
Bo go cały powiat Krzianowski odziwam.
Na jarmarkach robiom dobre interesa,
Bo najlepszy mondur jest u Bombelesa.

Dwie przigody z ognia i wody.

Raz biło wiesele u mojego stryka,
Co widawał Surcię za Fajgla Henryka.
Ja był zaproszony na pirszego dróżbę,
Młodemu państwu robić honorowy służbę.
A żem go miał służyć w tak ważny misye,
Robiałem całą noc do tańca lekcye:
Wziąłem worek z pirzem, jakby pannę żywą,
Uczyłem si tańczyć, naprzód, w prawo, w liwo,
Zieby nik nie wiedział, ostrożnie, po cichu,
Urziądziłem sobie tanzszule na strychu.
Tańcuję, tańcuję, zieby dyabli wzieni! —

Wpadnułem ze strychu wprost dziurą do sieni
Szczęści, że spadnułem we worku na pirze,
Trochem tylko potłuk nad siedzeniem krzize,
Byłbym złamał nogi aż po samy szyje,
Na nicby sie nie zdały do tańca lekcyje.
Gdym sie go do tańca, gut fajn, przigotował,
Włosy, icki, giensiem szmalcem rozsmarował,
I na drużbowanie posziedłem do stryka,
Zagrała mi z marsiem Krzianowska muzyka,
Ja zaraz muzyce zapłacić talara!
Za półtrzecia centa, zakurzył cygara,
Z głową honorowo zrobiałem do góry
I prosił do walca Goldbergowej Sury.
A zie mi go cygar w tańcu przieszkadzował,
Zapomniawszy zgasić do kieszeni schował.
Tańcuję, a coraz cieplej mi od skóry,
Ja miszloł z począntku, że to tak od Sury.
Tańcuje dokoła, szmierdzi, dymy walą,
Parzy mnie, patrzy się: spodnie mi się palą!
Wipuściłem Surę i na pole w skoki
Do wody, a był staw kilkanaście kroki,
Ogień coraz bardziej zacziął mię wygrzywać,
Tak ja hib! do stawu i począłem pliwać
W ty i owy strony z rękami, z nogami,
I byłbym si może utopił z rybami,
Bo już w stawie wody ze sto litry popił,
Ale mię chłop Błazek do brzegu witropił.
Tagem sie we wodzie pliwaniem zmordował,
Ziem go pietnaście dni leżący chorował.
Cygar wielką dziurą wypalił z kieszenie
I na nodze z boku zrobiał oparzenie.
Z całego wesela powstał wielki smutek,
Tak straszny z cygara widarzył się skutek.
Aj waj! giewałt, rety! — panny go krziczały,
Widząc oparzone moji nogi cały.
A ty ludzie ze wsi, grubijańskie goje,
To sze wszistkie śmiały z ty nieszczęści moje.

Kawalerskie zakochanie i miłoszcz.

Kiedy już całkiem wizdrowiałem w kroku
Nie widziałem Surę przez całe pół roku.
Choć od tego czasu, ja z nią tańcowałem,
Całkiem kawalerską miłoszcz do niej miałem.
Raz go idę rynkiem, patrzę, Sura siedzi
I sprzedaje chłopom wielką beczkę śledzi;
Jedną ręką chłopom szledzie widobywa.
Jak mi zobaczyła, z ręką na mnie kiwa.
Ja idy nieszmiało, sierce we mnie bije,
Jakby pałkom w bęben na licytacye.
Zachodzy — una si grzecznie ze mną wita:
— Dzień dobry go panu! — i o zdrowie pita.
Ja ij odpowiedział, w czysto polski mowy,
Ze już jestem z boku całkiem dobrze zdrowy.
Una ci go na to trochy zapłoniła
I do moich oczów minutę patrzyła.
Tak ja si go znowu na gębie zapłonił
I chciałem odchodzić, grzeczniem się ukłonił.
Surka wzięła z beczki wielgie szledzie sztiry
Mówi: — To dla pana! — obwija w papiry.
Ja przijąłem szledzie i podziękowałem;
Od tej chwili całkiem Surę pokochałem.
Codzień go wieczorem odwidzołem Surę,
Odwoził jej szledzie na tackach pod górę;
Zawsze dostawałem szledzia w podarunku,
I bez najmnijszego zawsze prz trafunku.
Tak my się kochali, jak Abraham z Sarą,
Albo na ten przikład Józef z Putyfarą,
Jagiem go wicytoł w taki historyji,
Co jest durkowano: w gruby bibiliji.
Nieraz, kiedym szedział ze Surą samotny,
Byłem od miłoszczi aż ziewnie markotny;
Tak mi buło dobrze orzy nij w każdy chwili,
Jakby w całym szwiecie cebulę smażyli...
Nieraz znów go miałem tak wielkie miłoszczi,
Zem czuł w sobie bardzo gorące ciepłoszczi.

Cobym sie roztopił, jak masło od słońca,
Zie ta moja miłoszcz nimogła mieć końca.
Serce nie sługa, taka w niem natura,
Co jak wlizie w niego jaka panna Sura,
To go już nigdy z niego nie wylizie,



Tylko tam szedzi, jakby we walizie.
Ach, waj! ta miłoszcz, ta miłoszcz kochana,
Była mi zawsze we dnie, wieczór, z rana,
Tak mię ciągnęła, jak magnes, do Sury,
Cobym ja robił w każdy dzień konkury,
Bo taki różne jako Sura wdzięki,
Nimiały żadny w Krzianowie panienki.

Asenterunki i frasunki.

Ach jak-go wielki, spotkał mnie frasunek,
Dostałym kartkę na asynterunek,
A Sura moja, moja lube Sura,

To od strapienia była aż ponura,
Ja, choć si bałem, Surę pocieszałem,
Ze, choćbym w wojski został jenerałem,
To mojej Sury lubej nie porzucę,
I do Krzianowa, od wojska powrócę.
Od tego czasu, gdy kartkę dostałem,
Do asyntyrki si przygotowałem.
Całkiem nie jadłem, nie spałem, nie piłem,
Przieróżne inne sekreta czyniłem.
Ocet pił z kredą, pisku nie goliłem,
Co dzień herbatę pijałem z senesem,
A brich di kiszkies z takim interesem!
I tak si z tego stałem bidny, straśny,
Ziem powątpiwał, czy ja Icek własny.
Wszistkom to cierpiał z miłości dla Sury,
I że do wojski nie miałem natury.
Kiedy już nadszedł dzień asynterunku,
Szedłem na niego, w smutku i frasunku,
Gdy mnie czitali, stanułem pod miarę,
Wsziscy patrzyli na mnie, jak w ofiarę.
Z głową kiwali, oglądali, śmiali,
Do domu mi sie wynosić kazali.
Jeszszem trzy razy buł do asenterki,
Odprowadzany od Sury, Esterki,
Lecz mnie nie wzięli — i byłem spokojny
Od tego wojska, niepotrziebnej wojny,
Przi wojskum nie buł, lec na wojnie bułem,
Nie tak, że bułem, lec nawet zginułem!
Bo właśnie wtedy, był czas niespokojny,
Z naszym cysarzem szedł Prusak do wojny,
Burmistrz w ratuszu z radnymi radzili,
Potym nas wszistkie żydki zgromadzili,
Cały regiment było naszej wiary,
Dali nam piki, cztery gwery stary,
I powiedzieli, cośmy pikiniery,
Za miastem dla nas zrobiali kwatery
We dnie tośmy go egzecyrowali,
A w nocy razem jak żołnierze spali.



Raz był już Prusak od nas mile cztery,
Jak krziknął! hura! wszistkie pikiniery
Tak on drugiego — hura! już nie czekał,
Aż si kurzyło, tak bardzo uciekał.
Ale raz blisko przyśli swawolniki,
Bo mieli bardzo kiepskie przewodniki,
Tak my odrazu pociskali piki,
Bo oni strzilać chcieli, paskidniki,
I zginęliśmy wszyścy do jednego
By nie wpaść w ręce, prusa paskidnego.
Poginęliśmy w wszistkie świata strony
Ja tam go został pod mostem zginiony,
Przez dwie godziny cichutkom tam siedział,
Zieby si prusak o mnie nie dowiedział.
(Taki buł ze mnie wielki patryota)
Jak już odeszła ty pruski chołota,
Tak ja z pod mostka wilazował z błota.
Choćmy zginęli wsziscy do jednego,
By nie wpaść w ręce prusa paskidnego,
To gdy go buła raz licytacya,
Zeszła si całe, nasza batalija.
Nie prziszed tylko, stary Mosiek, Jojna,
Onych zabiła pewnie pruska wojna.
Krzianów powinien zrobić im pomniki,
Zie ich niewinnie *zabił prusak* dziki.
Dziś jak sy wspomny o żydowskie ska uty,
Nie chciałbym przy nich być ani minuty.

Zaczinka z Berkiem.

Gdy już przed wojną. nie było nic strachu,
Tak ja si chwycił iglowego fachu
O mojej Surze nadobre miszlałem,
Zaraz po wojnie żynić się z nią miałem,
Miszlałem, zie juz, wszistko jest git, dobrzie;
Zieby mu wsziskie wyłomało ziobrze,
Berkowi Günsel, co kupował skórki

Jemu si żynić chciało z mojem Surki.
Bom si dowiedział, że Berek paskidny
(Bogatszy jak ja, bo ja bułem dość bidny)
Począł si Surce zalicać i lubić,
By jeszczy przody, jak ja ją poślubić.
Więc ja kiedy si o tem dowiedziałem,
Okazyi z Berkiem, zaczipki szukałem.
Aże raz idę do Surki pod górę,
Patrzę a Berek prowadzi mą Surę!
Jagiem zobaczył tę wielką przieskodę,
Skoczyłem, Berka chwyciłem za brodę,
I wielem chycił, wydarłem z korzenie,
Bo miałem wszekłoszcz, jak dżiki stworzenie.
Prziewróciłem go i kopał z nogami,
Un mnie zaś za brzuch uchycił zębami,
Aż Sura, gdy tę straszną rzeź spostrzegła,
Poczięła krzyczeć i po innych biegła.
Bo myśmy z Berkiem na śmierć by sie bili,
Lecz nas obidwóch, drudzy obronili.

Cuda i osądzenie rabinowe.

Berek wniósł skargę na mnie do rabina,
Zie w cały bitce była moja wina.
Zie uszkodzowałem mu jego urodę,
Bo mu ze złoszci witargałem brodę,
I zie go miałem tę wszczekłą naturę,
Com mu na giembie podrapałem skórę. —
Ja też na sobie miał Berków postępek,
Bom był na brzuchu pokąsany w pępek!
I miałem ranę gryzioną na szyi,
Od tego Berka wszekielnej bestyi!
Mając na sobie takie „wizom pyrtom"
Koło mej Surki się jeszcze obyrtom,
Coby go dla mnie korzystnie świadczyła,
Ze Berek gorszy, żeby mnie broniła
Ze jej chciał Berek szkodzić na jej cnotę...

A ja przieszkodził tę brzydką robotę...
Jak mi go Sura tak świadczyć przyrzekła,
Tak sie ta sprawa pomyślnie upiekła.
Nieboszczyk rabin, nie tak jak ten nowy,
Był go wiznawca, prorok mojżeszowy,
On cuda czynił! un raz ze ślepego
Jednego żyda, uczynił żywego!!
Raz szedł ten rabin przez Krzianów ulicą,
Patrzy, żyd ji spyrkę pod kamienicą,



Widząc, jak żre to świństwo niekoszerne,
Rozkazał, by się na niego zwaliła
Ta kamienica i na śmierć zabiła!
Poszedł, ale miał szerce miłoszerne,
Wrócił szie, kazał zostać kamienicy.
Patrzcie! dziś jeszcze stoi przy ulicy!
Jeszcze opowiem wam cud jego trzeci,
Perla Siberkina, nimiała dzieci.
Poszła po radę do rabina tego,
I wisłuchała buła dnia owego.
Nu, i ten rabin taki go cud sprawił,
Zie naraz dwoje Bóg jej pobłogosławił!!!
Gdyśmy sie przed nim na sąd postawili,

Ja, Berek, ojciec mój, Berków i Sura,
To si od strachu trzęsła na nas skóra.
Rabin sie pyta — Coszcie ucynili?
Prziód mówił Berek a potym ja gadał,
A rabin sądził, rozważał i badał,
Potym go podniósł prawą ręką w górę,
Rozkazał, by ja poszlubiłem Surę.
Tak po tym sądzie Berkowi na migi
Ja go pokazał ręką sztyry figi,
Berek pokazał mi swój język długi
Surze powiedział, że brzydka papugi.
I skończyły si Berkowy amory
Do mojej Sury, a ja od tej pory,
Jeszczym si bardziej zaczął w Surce lubić.
I jaknajprędzej chciałem ją poszlubić.
Pilnowałem ją jak oka w głowie
We dnie i w nocy. I moi panowie
Tych pamiętników moich przyjaciele
Zaraz opowiem o moim wesele.

Wesele, tańczenie i zakończenie.

Gdy na mnie wipadł wyrok tak łaskawy,
Tagym si starał, o weselne sprawy,
Sure i siebie przigotował godnie
Biło wesele już za trzy tygodnie.
Ręce i sierca i Sury moje
Rabin połączył na kupę oboje,
Krzianowska banda, przez całą noc grała,
Wiara żydowska hulała, szpiwała,
Co było goszcziów, wesołoszczów, śmiechów
A ja, co z moją Surką miał uczechów!...
Niepotrziebuję, wszystkiego powiedzieć
Kto sie domyszli, to sam może wiedzieć,
Były go nawet trzy telegramy!
Od sąsiada Giebla od tate i mamy,
Gratulacyów, więcy jako gości,
I różnych innych wiwajtów, radoszci!

Berek mi przysłał tyż gratulacye,
Bym złamał nogi aż po samy szyje.
Jagem przeczitał te brzydkie wyrazy,
Goszcie spluwali na nie kilka razy;
I powiedzieli, że ty awantury
To zrobiał Berek z miłoszcziów dla Sury.
Dziś obiwateł ze mnie, krzianowski bogaty
Z dwóch starszych synów mam już adwokaty,
Jeden starszyzną handluje w Krakowie,
Córki widałem bogato w Krzanowie.



A ja go dla moich odbiorców wigody
Robie garderoby na paryskie mody.
Kto z czitelników temu nie uwierzy,
Niech kupi mondur, na sobie przimierzy.
Dziś z moi Sury poważny niewiasta,
Kto z was przichodzi do Krzianowa miasta,
To ją zobaczy, w rynku sobie siedzi
A przed nią stoi beczka tłustych śledzi.
Kiedy szledziowy sezon już przestaje,
Bób gotowany, detail sprziedaje.

Tak lat pięndziesiąt z moją Sure żyje
Zawsze się kochamy, bez konkurencye.

Przygody Icka z żoną Surą.

Nad brzegiem jednej mokrej, dużej rzeki,
Co miała piasek i dużo kamyki,
Zamieszkał Icyk z Surą swoją żoną



Z niemi bachorów dużych, małych, grono.
Raz, kiedy przyszła bardzo wielka zima,
Ze z gołem rękiem mróz nikt nie witrzyma
Kiedy go Icek wstanuł z łóżka z rana
Sura już była kompletnie ubrana.
Tak potrzebował Icyk świży wodę,
Azieby umyć na gięmbie urodę;
Rzekni do Sura — moja dobra rybkę,

Przinieś mi wody ze rzyki kunyfke.
Poszła Ickowi, Sura przynieść wody,
Patrzi na rzyce takie grube lody!
Gdy przechodziła rzeki krajem, rogiem.
Pośliznęła się i bęc z grubem nogiem.
Od potłuczenia tak zemdlała sobi,
Ze nic nie czuła, co się dalej robi,
Choć potłuczenie, wielkie oziąbienie
Było, bo padła na goły siedzenie...
A kiedy potem już przyszła do siebie
I chciała wstanąć w ty straszny potrzebie,
Darmo się siepie, długo szarpie, męczy,
Suknia przimarzła i coś jeszcze więcy...
Krzicy na Icka — Icyk! Icyk! Kimno!
Giewałt, ratujcie bo umrę od zimno!
Przibiegnuł Icyk, patrzy się i dziwi,
Zaraz si potym na kolana krziwi —
Chucha i chucha Icyk a spieszy si
A jego broda całkiem na lud wisi.
Z nowym przipadkiem i z nowym powodem
Ickowi broda przimarznyła z lodem...
I zrobiła sie taki dziwny grupa,
Gdzie Icyk twarzą, tam jest Sury... suknia
Ta dżywna grupa, była by do lato,
Szczęściem, że leśny Błażek nadszedł na to —
Pociągnął Icka z Surą z całej siły...
Wszistkie si włosy w lodzie zostawiły
Które miał Icyk na swej duży brody
Surę też dźwignął, lecz w nagiej urody —
Bo Sury suknia przymarzła do lody!

Deklamowanie i szpiwanie.

(Na weselu Icka Bombełesa.)

1.

Z moim Ryfciem
Aj waj waj,
Muzyka mi żywo graj;

W prawo lewo, do góry,
I na miłoszcz dla Sury.

2.

I przed ślubem i po ślubie,
Zawszy swoją Surkę lubie
Zawszy kocham Aj waj waj!
Lube Surka buży daj.

3.

Serce mój i Twoje,
Złącz na kupę oboje,
Złącz na kupę oba-cwaj
Icek z Surką, aj waj waj!

4.

Gdy spojrzę na Surkę
Serce w Icku bije
Jaby pałkiem w bębęn
Na licytacyę.

5.

Kiedy Icyk patrzy w dziurkę,
Dziurką widzi, libe Surkę:
Kiedy Surka patrzy dziurką,
Patrzą dziurką, Icek z Surką.

6.

Swir, świr, za kominem,
Siedzi mazur z swoim synem,
A mazurkie z swoim curkiem,
Wiglądają, jednem dziurkiem.

7.

— Lube Surka co ty masz?
Co mi si tak podobasz,

— Co ja mam, to ja mam,
To ja tobie Icyk dam.

8.

Cobyście robiali
Gojowie panowie
Jak do Palestynę
Poszliby żydowie?

9.

Jak do Palestyny
Odeszliby żydki
Był toby interes
Aj waj! bardzo brzidki!

10.

Jak gojowi jest bida
To un idzie do żyda.
Jak u goja po bidzie
Zyd do goja sam przidzie.

11.

Niech Ickowi lube Surka
Co rok rodzi go bachórka,
By mnożyli sie żydkowie,
We Krzianowie i Krakowie.

12.

Tańcowali wsziscy
Icyk cziopkę zgubił,
Nietrap, że si Icyk
Surkę tyś poślubił.

13.

Na wisokiem niebie
Miesionc sobie szwici
I ja bym tak świcił
Gdybym nie miał czebie.

14.

Wlaz konik na łączkę
I mruga,
Ładna to szpiwanka
Niedługa.
Ogonkiem koniczek
Wciąż kiwa
Na bąka co pod brziuch
Mu szpiwa.
Dobrzie ci koniczku
I miło
Boś jeszczy ślub nie wziął
Z kobyłą.

15.

Za morziem tam prec!
Tam prec!!
Tam jest Palestyna,
Esterko jedyna,
Nie rób zymną hec!
Nie rób zymną hec!
Aj waj! gewałt hec!
Bo do Palestyny
Esterki jedyny
Odejdy ja precz!
Ty we Krzianowie
W Polski krainie
Będziesz wzdychać do mnie
A ja ciebie w spomnię
Tam w Palestinie.

Zydowska deklamacya.

(Przez Icka Bombelesa.)

Stworził Pan Bóg kozę,
Aby gruszki strząsać!
Koza nie chce gruszek strząsać

Stworził Pan Bóg piesa,
Aby kozę kąsać.
Pies nie chce kozy kąsać
Koza nie chce gruszek strząsać!
Stworził Pan Bóg kija,
Aby piesa walić.
Kija nie chce piesa walić,
Piesa nie chce kozy kąsać
Koza nie chce gruszek strząsać!
Stworził Pan Bóg ogień,
Aby kija spalić.
Ogień nie chce kija spalić,
Kija nie chce piesa walić,
Piesa nie chce kozy kąsać,
Koza nie chce gruszek strząsać!
Stworził Pan Bóg i wodę
Aby ogień topić.
Woda nie chce ogień topić,
Ogień nie chce kija spalić,
Kija nie chce piesa walić,
Piesa nie chce kozy kąsać,
Koza nie chce gruszek strząsać!
Stworził Pan Bóg woła
Aby wodę popić,
Wołu nie chce wodę popić,
Woda nie chce ogień topić.
Ogień nie chce kija spalić,
Kija nie chce piesa walić,
Piesa nie chce kozy kąsać,
Koza nie chce gruszek strząsać!
Stworził Pan Bóg „goja"
By na żyda robił,
Goj na żyda robić,
Wół dla żyda zabić,
Woda ogień topić
Kija piesa walić
Piesa koze kąsać

Koza gruszek strząsać:
Na szabes Aj, waj waj!

Sprostowanie Icka Bombelesa.

Sianiowni państwo, wsziścy czitelnicy!
Coście czitali moje pamiętniki
Witam was wszistkich w każdy okolicy
Z wijątkiem brzidkie antysemitniki.
Chcijcie przeczitać to nowy pisanie,
W którym żywota mego sprostowanie.
Jantek z Bugaja, dużo sie przesliszał
Gdim opowiadał — i inaczej pisał,
Czi też umyszlnie go fałszowanie,
Z żiwota mego zrobiał wirszowanie.
Un si dopuścił bardzo brzydki grzychu,
Narobiał zy mnie, niepotrzebnie szmichu,
Gdzie buły ze mnie wielkie katastrofy,
Un z tego zrobiał bardzo szmiszne strofy.
Zeby sie jemu pióro, język złamał!
Co un o mnie tak bardzo brzidko skłamał.

I. SPROSTOWANIE.

Po co żidki do Palestyny?

Twwil na pocziątku dlo jaki prziczyny,
Pysał, by żydki szły do Palestyny,
Aj waj! tak pysać, to brzidko, nieładnie!
Takie pisanie wigląda szkaradnie.
Do Palestiny? po co? my żydkowie?
A cóżby bez nas robiali panowie?
Co? pitam sie was tu na tym papirze,
Pomiszlcie tylko moi państwo szczirze!
Kto bi kupował pańskie lasy, bory,
Zboże czy sziano, folwarki i dwory...
Skąd by piniądzów jasny pany mieli,
Którzy w każdy rok jadą do kąpieli,

Do Zakopane albo do Karlsbady,
Zieby nie żidki, ich dobre sąsiady.
Na to pitanie odpowiedź nie trudny,
Ny — sziedzieliby w swoich dworach brudny!
A teraz drugie, ważniejsze pitanie,
Co by bez żidków robiali mieszczanie?
Jakby z Krakowa poszli Izraelici,
Zostaliby sami ty antysemici?
Pozostałaby sama wielka bida,
Zaden interes nie byłby bez żyda.
Co by robiali chłopy gospodarze?
By nie poczciwy żidki ariendarze?
Ktoby ich cieszył, w ich biedzie i w smutki,
Jakbi sprziedawać, nimiał im kto wódki?
Ktobi borgował, cy w karcmie cy w sklepie,
Jak na przednowku bida chłopów klepie,
Co bi bez żidków robiały polaki,
Jak bi im nie miał kto robiać jarmarki,
Z kim by robiali handel, interesy,
Zieby nie Reichy, Gütmany, Pinkesy?
Uważcie sobie czitelnicy szcirze,
Kto kupi skórkę z królika, sierć, pirze,
I różny rzeczy, wszelaki natury?
Jaje, cielęta, kaczki, genszi, kury.
Nie zrobią tego żadne sklepy z kółka,
I żadny inny katolicka spółka,
A różny inny przyjemny pożytki,
Które przynoszą dla Polaki żydki.
Polak ma jedne tylko te talenta,
By dawał żidkom porządne procenta...
Kazimierz król polski lubiał si w Esterce
I miał do żidków miłoszierne serce,
Zostawił żidków na pamiątki wieczne,
Bi w Polsce mieli miszkanie bezpieczne.
My z Galicye zrobim Palestyne
A z niej wichodzić? na jaką prziczynę?

II. SPROSTOWANIE.

Moje urodziny.

A teraz dalij! Moje urodziny.
Tu Jantek zrobiał zy mnie brzidkie kpiny.
Zie ojciec z matką do spółki rodzili!
To jest nie prawda, bo w ty ważny chwili
Od wszelki spółki za drzwi wirzucili
Mojego ojca — to jest głupie mowe,
By ojciec rodził z matką na połowę.
Ze psi porodzie, bułem go uparty,
Ny to jest prawda, to nie żadny żarty,
Bo mi to mamcze, sama powiedziała,
Jak kłopot zymną — przi połogu miała:
Lecz jak zrobiali brzękanie z pieniędzy,
Ja si urodził zaraz jak najprędzej
I ten pomocny przi rodzeniu sposób,
Polecam bardzo dla żydowskich osób.

III. SPROSTOWANIE.

Wipadki mojej młodoszci.

Dalej prostuję, idąc po porziądku,
Co sze go tyczy obrzynków obrziądku.
Rabin wypełnił tylko sam obrziądek
A sama matka czyniła porziądek,
Co mi szie trafił w ty operacyi...
Rabin to czynić nie miałby racyi!
Co zaś do tygo, ziem nie był urodny,
To tyż nie prawda, bo byłem podobny
Całkiem wyraźnie do nauczyciela
Wielkiego matki mojej przijaciela.
Który mojego ojca zastępował,
Jak ojciec z domu na handel wędrował,
Ojciec, jak poznał podobę... urodę,
To si aż targał z uczechów za brodę,
I wypowiedział belfrowi stancyje,

By nie powtórzył nowy historyje...
Zie ja utracił rozum na rabina,
To całkiem temu nie winna drabina.
Bo pocom na nią głupi wilazował?
Ja go sam całkiem w spadnięciu winował,
Co do wipadku, gdym doił Winochę,
To będzie prawda, kiedy dodam trochę,
Zie przez tą brzidką bestyalską krowę
Na cały życie straciłem wimowę,
Piniędzy Wickowi, gdym krowę kupował,
Które mi ukradł, ja mu nie darował.
Bom go odwidzał, w jego ojca domu,
I z nim handele robiał po kryjomu,
Brałym ze sklepu, czasem cukru kawał,
Cukierki, nici, Wickowi sprziedawał.
Chociaż pół darmo, aż Wicek przieklęty
Wszistkie mi moje za to wrócił centy.
Zy smarowidłem po dziwnej przigodzie.
Wikąpali mnie zaraz w ciepły wodzie.
I chociaż Hanka midliła mnie midłem,
To jeszcze dzisiaj mnie czuć smarowidłem.

IV. SPROSTOWANIE.

Oświecenie i krawieczyzna.

Potym Jantek pisał, ży mam ciasno w głowie!
Ny! by on mój rozum miał, co mój w połowie!
To by buł z niego poeta tak wielki,
Co by sonety pisał, do karmelki,
Ja oświecony jest bardzo głęboko
Z stary testament, żie „oko za oko“
„Ząb za ząb“ trzeba wybijać bliźniemu,
A un, żem głupi napisał, lo cemu?
Wielka jest mądrość, w żydziowskim narodzie,
Polacy mądrzy, dopiero po szkodzie!

V. SPROSTOWANIE.

Przigody z wroną.

Przigoda z wroną, to jest prawda wszistko,
Kto uczył wronę, to brzidkie przezwisko?
Ten ród gawroni całkiem brudny ,dziki,
To są pirzaste antysemitniki!
Jako ty goje, niegrzeczny ludziska,
Co nas żidków robiają przezwiska
Uni poprostu, mówią do nas „żydzie“!
Parchu! Parchulo! — co im z tego przidzie!?

VI. SPROSTOWANIE.

Lo cymu żidki mają nosy krziwe?
Posłuchajcie mnie państwo uczciwe:
Gdi prawodawca Mojżesz, żidków tłuszczę
W kraj obiecany prowadził przez puszczę,
To chociaż jedli prziepiórki i manne.
Co im spadają w godziny poranne.
To podnosili głowy buntownicze,
I Bóg odwrócił od nich swe oblicze.
Przistały mannę sypać im niebiosy
I żidkom na dół skrziwiały si nosy!
A na pamiątkę, zie sie sprzeciwili,
My krziwe nosy po nich zdzidziczyli.
Ja wszistkie księgi czitał talmudowe,
I do geszeftów mam fajn extra glowę.
Co si zaś tyczy moji krawieczyzny,
To ja wirabiam nowe ze starzyzny.
A jak przierobie, ubranie jest ślicny,
Całkiem prakticzny, a tak higieniczny,
Zie kto go kupi, na siebie ubiera,
Nie wi, co w nim jest tyfus czi cholera...
Bo ja szianowni odbiorcy panowie
Wsziską starzyznę kupuję w Krakowie,
Którą żidkowie trudniąc się tym sportem,
Z całygo świata kupują transportem.

Panowie znacie w Krakowie Gajera,
To mój dostawca. Niech go tam cholera!
Lecz poco ja mam mówić te paskidne słowy,
Przecież on podczas wojny zbiegnił do Jehowy.

VII. SPROSTOWANIE.

Przigody ogniowej i z wody.

A teraz moi panowie i panie,
Sprostuję moji pirsze drużbowanie.
Jak honorowe biło me sumienie,
Gdim dla mej Sury zrobił rozświęcenie!
Azieby na nij nie spalić atłasy,
Kiedym z nią zaczął tańcyć wywijasy,
Gdym spostrziegł pożar, bi niemiała szkody
Wipuszcziłem ją i wskocził do wody.
Co do pożaru, który powstał w spodnie,
To nienapisał Jantek z prawdą zgodnie.
Ten ogień, jak powiedział potem jeden z gości,
Nie powstał od cygara — on powstał z miłoszczi...
Może go bycz! bom jeszcze cygara nie kurzył
A jużem go czuł w spodniach ciepło bardzo duży!...

VIII. SPROSTOWANIE.

Miłoszcz.

Co do miłoszcziów bardzo Jantek skłamał,
Zieby si jemu pióro, język złamał!
Un tak umyślnie pisał, ży ja z Sarą,
Kochał si, jakby Józef z Putyfarą.
To jest nieprawda, mówię państwu z góry,
Nie było z nami żadny awantury!
Bo nasza miłoszcz była tak gorąca,
Jako na pełni promienie miesiąca.
A teraz moi dobrzy przijaciele,
Wicie, jako si odbyło wesele,
Miodowy miesiący miałem prziez rok cały,

Jakby grały mosiężne cymbały.
Raz ino miałem małą awanturę,
Bo uderzyłem z lewą ręką Surę.
Una mnie za to brzidko przieprosiła,
Bo mi lichtarzem trzy zęby wibiła.
Na tym zrobiałem geszeft oczywisty,
Bo do trzech zębów nie brałem dentysty.
Zresztą go wicie, jako że małżeństwo
To raz prziekleństwo, raz błogosławieństwo...

IX. SPROSTOWANIE.

Wojny z Prusakiem i z Berkiem.

Asyntyrynki i z Prusakiem wojne,
Na który zginął stary Dawid Jojne,
Ze wszistkiem Jantek prawdziwie opisał
Nic nie pokrziwił i nic nie przesliszał,
Co si zaś tyczy z tą z Berkiem zaczipką,
Tom tak nim rzucił, jak siana ocipką,
I sam si przitem przewrócił na ziemię,
Przilegnuł Berka, jako ciężkie brziemię.
A jak mnie Berek chwicił za brzuch w zęby,
Ja krziczał giewałt! całą parą z gęby,
Bo un mnie ugryźć jeszcze chciał żołądek,
Szczęściem zrobiali z nami wnet porziądek....
Bo my go z Berkiem, od strachu czi złości,
Zrobiali takie nieprzyzwoitości.
Ze aże Sura, co na nas patrzała,
Nos, oba uszy palcem zatykała.

X. SPROSTOWANIE.

Swińskiej kiełbasy i spyrki.

Tu moja boleść, aj waj waj te żydki,
Co mają zwyczaj, taki bardzo brzydki,
Co szwińskie mięso, niekoszerne jedzą.

To są ci państwo, co po dworach sziedzą...
To adwokaty — co grubo handłują
Uni go nawet i nie szabasują!
Gdibi im pieron szczielił wszistkim w głowę,
To bi nos zidków ubyło połowę,
Tak ich jest dużo, tych odstępców wiary,
Co gwalczą przikaz Mojzieszowy stary.
Na tym szianowni panowie i panie
Kończę żiwota mego prostowanie.
Wy Izraelici, coście gniewni wszędy,
O te w żiwocie moim brzidkie błędy,
Na tego Jantka z Bugaja poetę,
Już mu przebaczcie tę jego zaletę,
Co si nie boi, zie sie pióro złamie,
Tylko o żidkach, jak pisze, to skłamie,
Mój żiwot skrziwił, tak go wiprostował,
Bom mu do ucha wiraźnie diktował,
Aby si znowu jak wprzód nie prześliszał,
Jakiego głupstwa o mnie nie napisał.
Teraz do niego nie miejcie przikrości,
Wiplaczcie procent sześć i pół — wdzięczności
Koniec, a na tym końcu taka wielka kropka
Jako tworziowa sziabasowa czopka.

Śmierć Icka Bombelesa.

Smutny był we Krzianowie w tym roku karnawał,
Na ulicach i w rynku, smentek, cisza głucha,
Stary Icek, co przikład wszistkim żidkom dawał,
Bogobojnym żiwotem, oddał swego ducha.
Dlo cemu oddał ducha? dla jaki prziczyny?
Kiedy sie nie pożyczył — a był całkiem zdrowy.
Rano bardzo, zasiadnył szywać do maszyny,
Futro dla Daszińskiego, na dar honorowy...
Un mówiał Izraelitom — „Daszinski kochany,
To patron Izraelitów, choć nie obrzezany;
Un się bardzo zakochał w żydowskiem narodzie,

Izraelitów un broni w gazecie „Naprzodzie“.
Izraelickich rabinów un bardzo poważa,
Na katolicki wiary piszy, że zaraza...
Un bardzo nienawidzi katolicki wiary,
Pisze na każdy proboszcz, na każdy wikary.
Dlo tego jemu zrobię futro ze zajęcy,
Coby un Izraelitów kochał jeszcze więcy“.
Tak kiedy Icek futro szył dla Daszyńskiego,
Szije, szije, w tym nagle szlak szczelnił do niego!
Jak szlak szczylnie, to życie juz niema racyje,
Nie pomoże żaden lek i operacyje.
Nie skończył Daszińskiemu futra na okwiarę,
Szlak szczelnił, puścił ducha, i ostatnią parę.
Dwa razy ino nogą grziebnił Icyk stary,
Koniec, umrzył wiznawca z Mojżeszowy wiary.
I powstał wielki lament, ziałość wy Krzianowie,
I nie tylko w hebrajski, lec i w polskij mowie.
Zapłaknuł wy Krzianowie, co buł żiwioł wszelki,
Tak Icyk Bombeles miał szaconek wielki.
A Sura po trzi razy na sekundę mglała,
Bo piniądzów po Icku znaleźć nie umiała.
Synowie przijechali z Krakowa šnelcugiem,
I szukali piniądzów w jednym kufrze, drugiem,
Potym w komodzie, w szafie, w zamkniętym stoliku,
Aż po długim szukaniu, znaleźli w sienniku
Siedymnaście tysiąców papierem i złotem,
Co Icyk zapracował swym całym żiwotem...
Najstarszy syn chciał wszistkie, w pierworodnej części...
Ale młodsi nie dali, grozili mu z pięści.
Ale musiał się dzielić. Co buło lamentu,
Ze Icyk ty pieniądze chował, bez procentu...
Zie na lichwę do gojów nie dał ten kapitał.
Zawsze mówił: — Ja bidny, kiedy sie kto pitał
O pożiczkę. — O takich głupców Bombelesów,
Jak nieboszczyk, niema już wśród Rajchów, Pinkiesów,
Co kilkoma korony, lichwiarskim obrotem
Umią zrobiać tysiące (ale o tem potem!).
O Icku Bombelesie, poczciwy Icenty!

Cały Krzianów żiałością dotknięty,
Za sekundę zrobiałeś starę Surę wdową,
Zginułeś taką śmiercią nagłą, honorową.
Osierociłeś synów, sławne adwokaty,
Z których go do Warszawy będą kandydaty,
Bo Ignacy Daszyński obiecał to święcie,
Co ich zrobi posłami w polskim parlamencie.
O Icku Bombelesie, poczciwy, jedyny,
Synowie winszowali, w każdym imieniny
Sto lat zdrowia, a tyś już tak nagle wyprządgnął,
I te głupie dwadzieścia roków nie pociągnął,
Które ci brakowały na okrągłą stówkę,
Złakomiłeś się na śmierć, jakby na gotówkę!...
Zakończyłeś już żiwot, tak czysty jak woda,
I cóż pocznie bez ciebie Sura, już nie młoda?
Zkrepnułeś z pruskiej wojny, stary weteranie,
Szkoda cię! Miej po śmierci wieczne spoczywanie,
Niech światłość wiekuista po śmierci ci śwista,
Pamięć twego żiwota będzie przez lat trzysta!
Już Icka Bombelesa koniec jest żiwota,
Zapłaczcie czitelnicy, jak czyja ochota.
A ja zaś na pamiątkę z „Ickiem" znajomości,
Jeszcze jeremiadę napiszę z żałości.

I.

Już nie żiwy, już nie żije,
Już nie chodzi, już nie szije,
Już nie patrzy, już nie słyszy,
Już nie myszli, już nie dyszy,
Już nas nie bedzi więcej weselił,
Już go szlak strzelił! aj waj waj:
Już go Icenty Bombeles
Zrobiał ostatni interes,
Ze śmiercią, aj waj waj!
Już zamknuł powieki obie,
Już nie żywy siedzi w grobie,
Zagrziebali go łopatą

Na wszistkie zimy i lato.
Aj waj waj! Aj waj waj!

II.

Skrepnułeś, umarłeś Icku Bombelesie,
Nie chcą go szpiwać żadny ptaszki w lesie,
Już nawet wrona paskidna nie śpiwa,
Chodzi w żałobie... i ogonem kiwa.
Nawet na płocie nie chce szpiwać sroka,
Taka po tobie żałość jest głęboka!
Nie będą chciały szpiwać ptaszki w maju,
Tyle po tobie żałości, ajwaju!

III.

Na całym świecie wszistko patrzy smutnie,
Tak bardzo „Icka" żałuje okrutnie.
Załują wszistkie krzianowskie Izralici,
Lo cemu „Icyk" przikładem nie świci...
Nawet i krowa dobrze sie nie doi.
Po łące chodzi smutnie wół,
Tulipan, róże zwiędłe stoi
I pies ponuro patrzy z pod stół.
I kogut nie chce kukurywacz
I jajki kury znieść nie mają sił,
Wszistko na szwiecie chcy żałowacz,
Zieby Bombeles jeszcze żił.

IV.

Wszistkie psy wyją, jak zieby na wojnę,
Zie skończył „Icek" życie bogobojne.
Wszistkie stworzenie, co w pirzu i sierci.
Ziałuje „Icka Bombelesa" szmierci,
A nawet kwiczy stworzynie
Takie, co chodzi w szczecinie,
Załuje „Icka" śmierci miłosierne,
Choć nie kosierne... aj waj!

V.

I moje pióro sie złamało,
Bo z żalu więcy pisać nie chciało.
Czarnym atramentem, ażeby te wiersze,
Były o „Icku“ ostatnie i pierwsze
A więc ołówkiem zakończam pisanie,
Umarł „Icek Bombeles“, już więcej nie wstanie,
Spokój mu na zawsze, wieczne wigrziwanie...
A i mnie żałość ścisnęła za szyję,
O „Icku Bombelesie“ koniec trylogije.

Mojsie, syn Icka Bombelesa na wojnie.

OFIAROWANIE.

Wam, odważne, waleczne, Izraelitów syny,
Ofiaruję wojenne przigody, przicyny,
I waleczność od Mojsie, syna Bombelesa,
Co odważne na wojnie robiał interesa.
Wam waleczni potomcy Jerycha rycerzy
O Mośku Bombelesie ten poemat świeży
Ofiaruję, którzy to walecznie tak dzielnie
Za frontem, wciąż walczyłem całkiem nieśmiertelnie...
I mało który Icek, Berek, Mojsie, Jochem,
Powąchał, jak w okopach pachnie kulka z prochem,
Bo tam na froncie zabić mogły filistyny,
Albo wziąść do niewoli, bez żadny prziczyny.
Austrya zanim się w kupy rozleciała,
Ach una żydków bardzo serdecznie kochała,
Bo ile razy kłopot miała bez pieniędzy,
Żydkowie pożyczali onej jak najprędzej.
Tak Austrya za to żydowskie kochanie,
Dawała wszistkiem żydkom z wojny utrzymanie,
Ze żaden żyd na wojnie życia nie utracił,
Lecz na świndlach, przi wojsku, jeszczy się wzbogacił.

Asenterowanie Mośka.

Kiedy się go zrobiała z wojną historya
I ta wielka do wojny mobilizacya,
To Mojsie potrzebował być tak bardzo chorem,
Ze każdy mógł to poznać, choć nie był doktorem.
Miał „groisy hercen klopfen“, złamanie wątroby,
Katar w nogach, w żołądku nerwowe choroby,
Zapalenie ślepej nyrki i do tego głuchy,
Co nie szliszał — Daj Moszek! — na obydwa uchy,
Gdi przed asynterkową stanuł komisyę,
Powiedział swych boleściów, chorób historyę,
To mu doktór powiedział (gruby jak kandyba)
Co go Moszek tak zdrowy, jako w szabas ryba,
I powiedział mu jeszczy — takie zdrowe chłopy,
To są bardzo praktycznie, potrzebne w okopy.
Tak Mosiek tego doktór już więcy nie prosił,
Ani o te choroby rekursu nie wnosił,
Bo szkoda czasu mówić jest z doktorem takiem,
Co się uparł, że Mojsie musi być wojakiem;
I że Mośka waleczność, odwaga i męstwo,
Potrzebne Austryi jest go na zwycięstwo!...

Krzianów w rekruckiej żiałobie.

Kiedy w Krzianowie nadszedł czas okrutny
Zy ma do wojska iść, kto jest rekrutny...
Cały go Krzianów w żiałobę zasnuty
Chodził markotny i jakoby otruty.
Nic młodych żydków, całkiem nie cieszyło,
Każdy zapomniał Lojzę, Surę miłą.
Wszistkiem go życie zbrzidneło z kretesem.
Jeść całkiem nie mógł od wielki zgryzoty,
Do żadny geszeft już nie miał ochoty.
Chodził go błędny, jak bez krowy cielę,
Aj waj nieszczęsny i biedny Mojsiele.
A nie sam Mojsie, był smutny bez miary,
Płakała Lojzę, mamczę, Icek stary,



Aj waj Krzianowskie, żydki delikatny,
Jak uny mogą bicz do wojny zdatny.
Aj waj co będzie jak Mojsielę, Jojnę,
Berka, Dawidka zabierą na wojnę?
Tam przidzie kozak, taki bardzo srogi
Co strzieli, piknie w głowę, ręce, nogi
Kozak z kobyłem dużem, z długiem pikiem,
Mozie go Mośka zrobiać niewolnikiem.
A choćby go i Mośka nie zabili czasem,
To go strefnią ze świńskiem spyrkiem i kiełbasem.
Kto buł bogaty, mógł go nie żałować,
Dawać pieniądzów, by sie wiświędlować.
Od tegie wojska, przez pany doktory,
Co za pieniądzy zrobiali go chory.
Bidny Mojsiele, niebogaty Jojnę,
Nic niepomoży, muszą iść na wojnę.

Mojsie rukuje do wojska.

Co wrzasku, ryku, krziku, straszliwa godzina!
Syn Bombelesa Icka, jedzie do Icina.
Bachory, żona, krziczy, aj waj, taty Mojsie!
Nie dej si zabić na wojnie, trzimoj sie, trzimoj sie!
Trzimoj sie go z daleka, od te zabijanie,
Tedy moskal na ciebi zrobi szturmowanie,
Ty mój Mojsze, schowaj się w taką ofenzywy,
By cie nie widać było ani trochę żywy.
Nie daj si Mojsie zabić, bo to bardzo boli,
Nie daj si zabrać Mojsi, nie daj do niewoli,
Nie daj ty sobie zrobić żadny z kulkiem dziurki,
Ty przyjdź z wojny do swojej żony i bachórki.
Co by ciebi nie brakło żadnego kawałka,
Tak Mośka pożegnała jego ziona Małka.
Biedny Mojsie nie wiedział, co się z niego dzieje
Kiedy wsiadnuł w wagonie, żelazny koleje.
A te chłopy, co z Mośkiem na wojnę jechali,
Wódkę pili, szmiali się, z Mośka żartowali.

A jeden z nich: co pijany w kolei si kiwoł,
To tak ciągle Mośkowi we wagonie szpiwoł:

1.

Posłuchajcie panowie,
Co się stało w Krzianowie,
Co się stało w Krakowie,
W Tarnowie i we Lwowie.
Aj waj! bum, bum, bum!

2.

Wszystkich żydków zabrali,
Masirować kazali
I na front ich posłali,
By strzylali moskali.
Aj waj! bum, bum, bum!

3.

Berki, Mośki, Dawidki,
To waleczne są żydki,
Robiać handel z pożytki,
Interesów nie brzydki,
Aj waj! bum, bum, bum!

4.

Nie dal im go bulki,
Obiad z czosnek, cebulki,
Trochę czarnej kawulki,
Knedle twarde jak kulki,
Aj waj! bum, bum, bum!

5.

Posłuchajcie panowie,
Jak waleczni żydkowie,
Jak wam Mojsie opowie,
Włosy staną na głowie!
Aj waj! bum, bum, bum!

6.

Mojsie tak się raz chwalił,
Jak un z gwera wypalił!
Sam na siebie się zwalił,
Swoje życie ocalił,
Aj waj! bum, bum, bum!

Oblikanie, wikąpanie, icków, brody obrzezanie.

Kiedy Mojsie przijechał do miasta lciny,
Było rano po południu o czwarty godziny,
Zaczięli zaraz z Mośkiem cziste wikąpanie,
Ostrzyżenie z bolesnem icków obrzezaniem.
Jak zrobili te straszne trzi operacye,
Mojsie całkiem się zmienił w żołnierskim mundorze;
I w cysarsko królewskim austryackim honorze,
Wykąpany na czisto bez icków i brody,
Ze starego zrobił się całkiem nowy, młody.

Mustra — egzecyrka.

I zaczęli go Mośka uczyć egzecyrki,
Gimnastykies, ibungies, porziądny spacyrki.
A kapral, co go uczył, był to chłop wisoki,
Musiał Mojsie przed nim stać, habacht na trzi kroki.
Ten pan kapral to go bił za bardzo gorący,
Jak go Mojsie na mustrze zmiluł co niechcący,
To un sie zaraz zrobiał zły, zaraz si gniwał,
Rozmaite wyrazy klnuł Mośka, przieziwał:
Krucafuks! psiakrew Mojsie, krziczał brzidkie słowa,
Jak ty to Mosiek stoisz! jak bez rogów krowa!
Haptak! śluzuj kopyta! brzuch schowaj za plecy,
Naciąg sie ufermo! różne inne hecy.
Okrutnie tem pan kapral, tak umiał dokuczyć,
Jak Mojsie egzecyrki nie mógł si nauczyć.
On nie bił, ale tak mu przipasował nosa,
Jak mu ciapkę prostował, że Mośkowi rosa

Zaraz z oczu płynęła; a jak go poprawiał,
To go takie bolące dotykania sprawiał



Ten kapral; un go nie bił, lecz podczas nauki
Umiał takie przeróżne dokuczliwe sztuki.
Ze si go na tym miejscu nie da opowiedzieć,

Tilko go bidny rekrut, może o tem wiedzieć!
A dopiro fieldfebel w jakiej był naturze!
To Mośkowi aże mróz prziechodził po skórze.
On jak otworził gębę, to jak wieloryba,
Zdało si, Mośka połknie! Brzuch miał jak kandyba
Jak on ryknie, to Mosiek jak fybra trzęsie sie,
Bo jak zmylił, fieldfebel zapisał w notesie,
Kazał iść do raportu, a kapitan Stancel,
Karał szieść godzin szpangi albo trzy dni ancel.

Niekoszerny „menarz".

Przi wojsku to jest zwiczaj bardzo brzidki,
Co go koszerny „menarz" nie dostają żydki.
Tak go Mosiek w pierwszych dniach ten „menarz" [sprzedawał,
A jak nie chciał nikt kupić, to za darmo dawał,
Ale później, jak Mosiek z egzecyrki, z błonia
Prziszed głodny, tak zjadłby z kopitami konia,
Że przy wojsku, z jedzyni, to żadny karnawał,
Później Mosiek kupował, nie zieby sprziedawał.

Kłopot z karabinem.

Karabin go przy wojsku, to wielkie micyje,
Trzeba nim umieć robiać różne komedye,
Ale Mosiek do nigo nie miał prziwiązanie.
Kiedy robiał „anszlagi", „baimfus", siultrowanie,
To go bardzo niezręcznie karabinem władał,
Co mu czięsto go z ręki na ziemię upadał.
Nie mógł go Mosiek nigdy dobrze opucować,
Często musiał za niego karę „wyfasować".
Słowem do karabinu, to Mosiek był frajer,
Kiedy pierwszy raz z niego strzilał Mosiek fajer,
Karabin go tak kopnuł w prawą stronę giemby,
Co go aże Mośkowi wybił coś trzi zęby.
I Mosiek sie przewrócił jak długi na plecy,

Wszyscy sie szmiali z Mośka, jakby z jaki hecy.
Nu, co un winien temu, że un do strzylanie
Miał bojący sumienie, krziwe cylowanie?

Pan frajter Paskidny.

Ach co un go witrzymał, Mojsie rekrut bidny!
W jego „zugu“ buł pan frajter, co si zwał Paskidny.
Un go zawsze na Mośka krzicoł, ten pan frajter,
Zie bidny Mojsie ciągle musiał robić „weiter“,
Chodzić z mietłą do „hofu“, „auf gang“, do abortu,
A jak Mojsie nie poszied, brał go do raportu!
Bidny Mojsie, na wściekłę, pan frajter osobę,
Musiał szukać likarstwo na jego chorobę.
Poczęstował go wódką, dawał czasem „szportów“,
Ażeby Mośka z mietłą nie słał do abortów.
Jak pił wódkę pan frajter, papierosy palił,
Nie dał Mośka na „arbeit“, a nawet go chwalił,
A jak go wódkę wyżar i wipalił szporty,
To Mośkowi dał rozkaz — Pucować aborty!
Zawsze go bidny Mojsie miał przed frajtrem trwogię,
Większy strach, respekt przed nim miał, jako przed
[Bogiem.
Raz był w „zugu“ sam Mojsie, i bardzo się nudził,
Ale siedział cichutko, żeby nie obudził
Pana frajtra, co smacznie chrapał po „menaży“.
Siedzi cicho — wiem, co się bardzo rzadko zdarzy,
Otwarł drzwi pan kapitan, trzasnął głośno drzwiami.
Mojsie mówi po cichu — Psssst, bo go źle z nami,
Jak pan frajter sie zbudzi i zły bardzo wstanie,
To oba oberwiemy, panie kapitanie.
— „Was ist das? miserabel du, du hund gemaine!“
Rykł kapitan, frajtrowi przerwał spanie fajne,
Ryczał jak lew, klął różne świata elementy,
Ze sie aże w kasarni trzęsły fundamenty!
A co sie jeszcze działo z kapitanem potem,
Nie wiem, bo mi sie Mojsie nie chciał prziznać o tem
Długo, aż mi dopiero drudzy powiadali,

Ze Mojsie i pan frajter w „anclu“ rozmyślali,
Ze pan kapitan wielka jest bardzo osoba,
Co może frajtra budzić, jak mu się podoba...

Pomylona egzecyrka i dyfilirka.

Bardzo wczias rano kapytan na koniu
Już go przijechał, miała bicz na błoniu
Wielka parada, wielka egzecirka,
Po egzecirce, taka dyfilirka,
Przi której każda kompanija cała
Panu obesztowi na pisk patrzić miała,
Chociaż tyn obeszt był siwy i brzidki,
Na egzecyrce, nie łubiał go żydki!...
Jak zidek zmilił, siepał sie na koniu
I jako wszczekły, rajtował po błoniu.
Nad żołnirzami wimyślał i dziwił,
To też jak Mojsie kilka razy skrziwił...
Przi egzecyrce parę razy zmylił,
Oberst na koniu aże si pochylił,
Prosto do Moszka i sziabli zielazem
Aż kilka razy uderził go plazem.
Kapytan na Mośka miał złość tak okrutną,
Raz bił jak karmazyny, drugi raz jak plutno.
Tylko Mehl feldwebel, co także bił żydek,
Nie widział jak zmilił Mojsze lub Dawidek!
Po tej egzecyrce buł „rast“ i paradę
Oberst Miller kazał zrobiacz difiladę.
Ach ten głupi Mojsze, co miał oberstowi
Patrzić prosto na pisk, un patrził kuniowi,
Bo Mojsze go nie miał patrzić przijemności
Na niego, co szablą bił Moszka zy złości.
Tak za tę okrutną obersta zniewagę
Kapytan Moszkowi dał go na „zulagę“
Sześć godziny szpangi i rzekł do żołnierzy:
Od was tez Mośkowi cosi sie należy!...
Co który może Mośkowi pomoże,
Bo un kompanią babrze na honorze!

Jak go Moszkowi potem dokuczali!
Kolbą mu z tyłu, jak zmilił, tłukali,
A ty „unfermo“! wsziscy prziezywali,
Jeszcze Mośkowi „dekę“ obiecali...
Biedny Mojsie miszlał, zy to jakie hece,
Gdy mu żołnirze gadali o „dece“.
A to nie były ziadne kimedyja
Cała z tą deką brzidka historya.

„Deka“.

Wieczór już po dziewiątej, kiedy Mojsie chrapał,
Ktoś mu derką owinął głowę, mocno złapał,
I trzimał, a zaś drudzy robiali tę zdradę,
Jakbi strzilał „schnell fajer“ albo sypał gradem,
Rzemieniami, kuplami bez żadny sumienie
Swistali go Mośkowi w jego posiedzenie!
A potem sie go naraz wsziscy rozlecieli,
Już go każdy spał, chrapał na swoi pościeli.
Ze jak Mojsie w raporcie chciał si „beświerować“,
To nie wiedział na kogo i musiał darować.
Tyle tylko, że Mojsie dotkliwie pobity
Zapysał sie go rano do marod wizyty.
Ale co to pomogło, tyle tylko ino,
Że mu posmarowali siedzenie jodyną.
Aj waj, straszna na Mośka była owa deka,
Od strachów i boleściów nie odszedł Mojszele
Od tyj straszny rziemiennej dekowej kąpiele,
Ale po tej go dece, powiem wam panowie,
Uważał w egzecirce, jak na oko w głowie.

Mosiek na patroli.

Raz buło ćwiczenie, jak si robi wojnę,
Jak Mosiek i drugi jeszcze żydek Jojne,
Zostali wybrani obai do patroli,
Popatrzić, czi we wsi niema tam moskoli,



A jakby tam byli, coby zameldować.
Tak go Mosiek z Jojnem poszli patrolować.
Idzie Mojsie, idzie na tę patrol z Jojnem,
Pies stoi na drodze, zaczął z niemi wojnę.
Jaki on go węch dobry miał we psij naturze,
Poczuł, że to żidki są w komiśnem mundurze!
Jak go zaczuł szczekać i wyszczerzać zęby,
Stanuły im włosy od strachu jak dęby.
Widzi Mosiek z Jojnem, że go niema rady,
Tak do kompanii robią rejterady.
Pies idzie za niemi, nie przestaje szczekać,
Tak oni „laufszryt" poczęli uciekać,
Aj, waj! jaka to wielka była z tego chryja,
Jak ten „rykcug" ujrzała cała kompania,
Pan kapitan tak się śmiał, aż trzymał za boki,
— A chodźcie no tu do mnie, waleczne wojoki! —
Zawołał pan kapitan na Mośka, na Jojnę:
— Jak ja z wami mogę iść na wojnę?
I długie im kazanie rozgniewany rypał,
Za tę głupią patrolę sześć dni „ancla" wsypał.

Mosiek marod.

Od tego przy strzilaniu okropne zdarzenie,
Dostał Mosiek do serca tak wielkie trzęsienie,
Ze się zapisał, że jest bardzo chorem.
O ósmej na wizytę stanuł przed doktorem.
Doktor go przy wizycie po plecach popukał,
Ale żadny choroby w Mośku nie wyszukał,
I napisał receptę na sześć godzin „szpangi".
Takie to są doktory od wojskowy rangi!
Jak noga boli, to uni proszek dają z chiny,
Jak kogo zęby bolą, olejek z rycyny,
Jak kogo piersi bolą, na głowę kompresy.
Przy wojsku na chorobie, żadne interesy!
Doktor powie zdrów, rób służbę przy sztandzie,
Choćbyś za kilka godzin na „himmel komandzie"

Był żołnierzu. Pókiś żyw, nie wolno chorować.
Musisz go robić służbę, musisz masirować.



Mosiek z czerwonym krzyżem.

Jak spostrzegli, że z Mośkiem nima żadny rady,
Do wojny, do strzilania i do marsz parady,
Ze on do „łapiduchów" będzie rychtyk prawie,
Dali mu krzyż czerwony na lewym rękawie

I un Mosiek wiznawca Mojżeszowy stary,
Nosił go krzyż czerwony katolickiej wiary.
Albo to un? Nosili prawie wszystkie żydki
Podczas wojny, bo z krzyża są duże pożytki.
Mogli siebie w szpitalach dekować spokojnie,
Nawet geszefty robić, nie słyszeć o wojnie.
Tak go też Mojsie zrobił, bo miał rozum w głowie,
Był na wojnie bezpieczny w szpitalu w Krakowie.
Popatrzcie na oblicze Mośkowe szczęśliwe,
Jak trzima, prezentuje w ręce lewatywę!...

